David Wright O'Brien

Sherlock dwudziestego piątego wieku

(Twenty-Fifth Century Sherlock)

Fantastic Adventures, March 1941
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Twenty-Fifth Century Sherlock" by David Wright O'Brien (as by Duncan Farnsworth).
This etext was produced from Fantastic Adventures, March 1941.
Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Inspektor międzyplanetarny Carson wyjął z kącika ust grube wenusjańskie cygaro i położył je z pieczołowitą uwagą na popielniczce koło łokcia. Wyciągnął swe pulchne łapsko i pstryknął przełącznikiem odtwarzacza taśm z wiadomościami, spoczywającego w rogu blatu biurka. Maszyna przestała klikać, a długi pas papieru, wypluwany przez nią do pojemnika, nagle się zatrzymał. Carson oderwał zadrukowaną część od maszyny. Potem, kładąc nogi na biurku, rozparł się wygodnie w swym krześle ze stopu chromowego, głęboko westchnął i zaczął czytać.

— Cholera — mruknął. — Niech diabli wezmą tych wszystkich redakcyjnych gryzipiórków.

Otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł Brisk Haynes, młody asystent Carsona, z twarzą wykrzywioną w całkiem szerokim uśmiechu.

— Heja, szefie — zasalutował Haynes. — Widział pan te artykuły prasowe na taśmie z wiadomościami? Wie pan, jak pana teraz nazywają?

— Sherlock z dwudziestego piątego wieku — wymamrotał Carson, z oczywistym niesmakiem. — Stek bzdur!

— A teraz, szefie… — zaczął Brisk Haynes, w widoczny sposób rozkoszując się zakłopotaniem swego zwierzchnika.

Carson przerwał mu:

— Same bzdury, plotą co im ślina na język przyniesie! — Wstał, by tym dobitniej dać upust swemu ulubionemu tematowi utyskiwań. — Nie ma większej różnicy w kryminalnej dedukcji, porównując dzisiejsze czasy i te sześć wieków temu. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. — Kołysał się gniewnie do przodu i do tyłu. — Mówię ci, że ten luksusowy wiek zaczyna mnie dobijać. Powinniśmy wybrać się na wakacje, obaj. Znaleźć sobie jakąś odludną niewielką asteroidę i zrobić na niej przez chwilę trochę obozowego bałaganu. Wybrać się gdzieś daleko od tego wszystkiego.

— Nowoczesna dedukcja kryminalna, phi! Można by pomyśleć, że biegałem z planety na planetę z rurką laboratoryjną w kieszeni, a do tego suwakiem i chromometrem za pasem! Albo że każdy cholerny naukowiec po tej stronie Merkurego tylko czekał, żeby podać mi komfortowo na tacy kto-to-zrobił.

— Do diabła — Carson zatoczył gwałtowny łuk pięścią. — Musiałem walczyć z najbardziej zaawansowanymi metodami przestępczymi znanymi ludzkości – nie mając nic więcej niż ta sama odrobina rozumu, jaką mieli do dyspozycji Sherlock Holmes, Perry Mason i tamci pozostali. To mnie dobija!

Carson nagle zdecydował się.

— Wakacje? Czemu nie, co? Czemu nie? — Wyciągnął nowe, grube wenusjańskie cygaro. — Niech będzie!

Carson i Haynes lecieli wynajętym krążownikiem rakietowym. Na rufie statku leżały stosy sprzętu w wystarczająco dużej ilości, by przez miesiąc

umożliwić wakacyjne biwakowanie na asteroidzie. Skafandry kosmiczne, wyposażenie naziemne i stosy innych najrozmaitszych różności, które miały zapewnić im jak najwygodniejszy pobyt na wybranej planetce.

Wypuszczając kłęby dymu ze swego nieodłącznego wenusjańskiego cygara, międzyplanetarny inspektor Carson siedział przy pulpicie ze sterami obok Briska Haynesa.

— To jest życie — zauważył Carson. — Nie czułem się taki wolny od czasu, kiedy byłem młodym smarkaczem w Siłach Patrolu Kosmicznego. — Westchnął. — To były stare, dobre czasy…

Haynes zerknął na pulpit pilota.

— Zaraz będziemy musieli zacząć się rozglądać za naszym wspaniałym rajem. Lepiej zredukuję trochę nasze „gie", żebyśmy go nie przegapili. Jak rozumiem, to drobna, malutka skałka.

— Mała, ale bezludna — poprawił go Carson. — I jakże mi się podoba to ostatnie słowo! — Zamknął oczy. — Bezludna; spokojna i cicha; nikogo kto chciałby zdezintegrować któregoś ze swych bliźnich!

Haynes wykrzyknął z radości.

— Tam jest! — Jego oczy zatańczyły z entuzjazmem. — Tam, w dole!

Dokładnie w dziesięć minut później, posadzili niewielki krążownik rakietowy na malutkiej asteroidzie. Carson pierwszy wyszedł ze statku, ponieważ założył swój ekwipunek kosmiczny już wcześniej, kiedy podchodzili do lądowania. Czekał na wyboistej równinie, kiedy Haynes pokazał się we włazie.

— Hej! — zawołał Carson przez wzmacniacz głosu. — Wracaj na statek ty przygłupie. Wracaj i załóż swoje okulary polaroidowe!

Haynes miał już właśnie wyjść z kabiny statku. On również ubrany był w skafander kosmiczny. Ale w przeciwieństwie do Carsona pod wieżyczką hełmu nie miał założonych na oczy specjalnych szkieł.

— Chcesz sobie w ciągu dwóch minut zafundować ślepotę kosmiczną? — powtórzył Carson. — Dobry Boże, Brisk, wracaj i zakładaj na nos polaroidy!

Haynes uśmiechnął się, popukał się rękawicą w bok szklanej wieżyczki hełmu, przewracając głupawo oczyma, aby wskazać, że chyba coś musiało mu się pomieszać. Pojawił się ponownie w minutę później. We wnętrzu wieżyczki na jego oczach widać było założone szkła. W rękach niósł część wyposażenia kampingowego.

Carson ponownie skorzystał ze wzmacniacza głosu.

— Brisk, zostaw teraz te rupiecie. Chodźmy najpierw rozejrzeć się po naszym nowym domu!

Haynes skinął głową, składając sprzęt u swych stóp, na skorupie asteroidy.

Carson rozejrzał się bo usianej kamieniami, pagórkowatej powierzchni asteroidy. Niektóre z wystających z ziemi pagórków były dostatecznie duże, aby skrywać rozciągający się za nimi teren. Wskazał na jedną z tych nierówności, największą.

— Wejdźmy na tę górkę — zasugerował. — Stamtąd możemy mieć dobry widok.

Haynes uśmiechnął się w duchu. To było typowe podejście jego szefa do wszystkiego co wymagało jakiekolwiek wysiłku: wyeliminować tak wiele fizycznej aktywności, jak to tylko było możliwe. Ale pulchny asystent tylko skinął głową na zgodę i ruszyli we dwóch na asteroidowe wzniesienie. W kilka minut później, z ciężko oddychającym Carsonem, stanęli na jego szczycie.

Pagórek był rzeczywiście największym wzniesieniem na niewielkiej asteroidzie i z tego korzystnego punktu obserwacyjnego mogli zobaczyć cały otaczający ich fragment powierzchni planetki. Sama asteroida musiała mieć więcej jak trzy mile średnicy. Jednak w zasięgu widoczności znajdował się cały horyzont i to dosyć wyraźnie.

Nagle Haynes złapał Carsona za ramię, a jego głos zabrzmiał ostro w słuchawkach wzmacniacza.

— Szefie! Proszę tam spojrzeć!

Wskazywał na stosunkowo równy fragment powierzchni asteroidy, położony w odległości mniej niż mili od nich. Ta część terenu poznaczona była tylko minimalnymi wzniesieniami – na jednym z nich leżało ciało człowieka ubranego w skafander kosmiczny!

Carsona rzucił zaskoczone, urwane wpół słowa przekleństwo, i zaczął schodzić po stromym zboczu, szybkimi, chwiejnymi krokami. Brisk Haynes ruszył tuż za nim, a do czasu zanim dotarli do bardziej równego terenu, pulchny asystent wysforował się już daleko przed swego Szefa.

Haynes jako pierwszy dotarł do postaci w skafandrze kosmicznym i kiedy dobiegł tam mocno zadyszany Carson, pochylał się nad ciałem.

— Kto to jest? Co, jak… — zaczął Carson.

Marszcząc brwi Haynes uniósł wzrok.

— To jakiś facet, szefie. Bardzo stary i bardzo martwy.

— Zabity? — pytanie Carsona było zupełnie automatyczne. Haynes zmarszczył brwi w jeszcze większej konsternacji.

— Nie wiem. Nie widzę żadnych znak przemocy. Nie wygląda też, aby zbyt długo tutaj leżał.

Teraz Carson pochylił się nad ciałem. Haynes przetoczył je tak, by widoczna była twarz zmarłego. W wnętrzu wieżyczki skafandra widać było, tak jak powiedział jego asystent, oblicze starego człowieka. Oczy miał mocno zaciśnięte, a twarz z szarymi wąsami i szpiczastą bródką – zesztywniała w śmiertelnym skurczu. Carson zdjął rękawicę kosmiczną człowieka, a następnie zdjął swoją, na chwilę wystawiając swe ciało na działanie próżni, aby móc ustalić czas od którego starszy człowiek był martwy.

— Ciało jest ciągle ciepłe — zauważył Carson, zaintrygowany. Szybko nałożył z powrotem rękawicę.

— Nie widzę tu nigdzie żadnego pojazdu, poza naszym własnym krążownikiem rakietowym — wtrącił Haynes. — Jak u diabła taki starzec w ogóle mógł się tutaj znaleźć? Jakim cudem, albo dlaczego, leży teraz tutaj?

Carson wyprostował się.

— Tego właśnie mam się zamiar dowiedzieć. Gdybyśmy dokładniej się rozejrzeli po tej, ehmm, bezludnej asteroidzie, moglibyśmy…

Haynes zauważył zmianę jego wyrazu twarzy.

— Co się… — zaczął.

— Tym razem moja kolej, żeby coś pokazać — powiedział Carson. — Popatrz tam – na zboczu pagórka – widzisz?

Haynes odwrócił się, aby spojrzeć w kierunku, w którym wskazywał jego szef.

— Do diabła, niech mnie zdezintegrują! Alenoidowy metalowy barak – oparty plecami o zbocze pagórka!

— Z tej górki nie zobaczymy go dokładnie — chrząknął Carson. — Weźmy starszego pana i zabierzmy go tam. Niewątpliwie, to jego siedziba.

Razem przenieśli ciało starego mężczyzny kilkaset jardów rozdzielających ich od nowo odkrytej alenoidowej szopy. Wbudowana była w zbocze pagórka i miała chyba jakieś dwadzieścia stóp szerokości, sześćdziesiąt długości. Była to parterowa budowla, ewidentnie wzniesiona niedawno, ponieważ alenoid błyszczał jeszcze nowością. Kiedy do niej dotarli, okazało się że drzwi szopy są zamknięte, ale Carson, pozostawiając Haynesa koło ciała, otworzył je siłą, zyskując dostęp do drugich drzwi, tworzących śluzę powietrzną.

Do czasu, zanim Haynes wciągnął ciało do wnętrza śluzy, Carson zaczął walić w wewnętrzne drzwi.

— Skąd pan wie, że ktoś tam w środku jest? — spytał go Haynes. — Ten starzec mógł mieszkać tu sam.

— Tego typu rzeczy, mogą zostać zamknięte tylko od środka — wyjaśnił Carson.

I w tej samej chwili rozległy się odgłosy szurania stopami, postukiwania o płytę drzwi, a potem wewnętrzny właz otworzył się na oścież.

Stanął w nim zaspany młody mężczyzna, z oszołomieniem przyglądając się roztaczającemu się przed nim widokowi.

Wydawało się, że dopiero w tym momencie po raz pierwszy dostrzegł ciało starego mężczyzny. Oczy rozszerzyły mu się z przerażeniem:

— Dobry Boże, doktor Martin!

Potem zwrócił się do Carsona i Haynesa.

— Jak, co, kim wy jesteście, ludzie? Gdzieżeście… — zdusił resztę słów w zmieszaniu i konsternacji, w widoczny sposób próbując zrozumieć co się dzieje.

— Zna go pan, co? — powiedział Carson, pomagając Haynesowi wnieść ciało do wnętrza baraku. — Ależ oczywiście, że pan go zna. Może pan nam opowie jak to wszystko się stało. Jak pan się nazywa?

Młody człowiek odsunął z oczu dziką grzywę czarnych włosów. Ręka w widoczny sposób mu drżała.

— Nazywam się Brophy. Byłem asystentem doktora Martina. Jesteśmy tutaj zaledwie od miesiąca – pracowaliśmy nad pewnym eksperymentem. A kim wy jesteście? Skąd się tutaj wzięliście? — jego głos był ochrypły i urywany.

— Nazywam się Carson. Mój kolega, Haynes. Policja Międzyplanetarna.

Położyli ciało starca na łóżku w rogu pomieszczenia i Haynes wraz z szefem stanęli przed rozdygotanym młodym człowiekiem.

Haynes wyjaśnił.

— Przylecieliśmy tutaj, ponieważ myśleliśmy, że asteroida jest bezludna. Coś w rodzaju wakacji. Nie wiedzieliśmy, że w okolicy znajduje się ktoś jeszcze.

Młody człowiek o nazwisku Brophy, odzyskał odrobinę zimnej krwi.

Teraz jednak odezwał się Carson.

— Jak to się stało? — machnął kciukiem w kierunku leżącego na łóżku ciała. — Proszę opowiedzieć nam wszystko, z dokładnymi wyjaśnieniami, jeśli jakiekolwiek potrafi pan podać. Ten starzec nie żyje najwyżej od dwudziestu czterech godzin, jeżeli nie krócej.

— To musiały być te zastrzyki – może przedawkował — oznajmił z desperacją Brophy. — Ostrzegałem go, że być może bierze za dużo. Ale on się upierał. To moja wina, nie powinienem zasnąć. Powinienem go pilnować. Ale byłem taki zmęczony, Boże, jaki ja byłem zmęczony. Musiał wyjść z baraku, kiedy spałem.

Carson zmarszczył brwi.

— Człowieku, o co tutaj chodzi? Proszę wyjaśnić!

— O eksperyment — szybko zaczął się tłumaczyć Brophy, — nad którym pracowaliśmy. Dotyczył on sztucznej stymulacji fobii, syntetycznego tworzenia uczucia strachu. Próbowaliśmy w ten sposób określić miejsca lęku w umyśle człowieka. To mogłoby prowadzić do eliminacji lęków. Doktor Martin uważał, że najlepiej będzie, jeśli końcowe eksperymenty w naszej pracy przeprowadzimy na jakiejś odludnej asteroidzie. Związane one były z testowaniem rozmaitych serum które odkryliśmy. Martin nie chciał się zgodzić, aby wypróbował je ktokolwiek poza nim samym.

— I dlatego tutaj przylecieliście, tak? Naukowe odosobnienie, czy o to chodziło?

Brophy skinął głową.

— Miałem prowadzić zapisy pomiarów skutków, po wypróbowaniu różnych serum na doktorze Martinie. On je sobie wstrzykiwał, a ja obserwowałem i zapisywałem jego zachowanie.

— Zaszczepiał w sobie stymulowane fobie, tak? — wtrącił Haynes.

— Tak, robiliśmy to przez ostatnie trzy tygodnie. Doktor Martin nie chciał słyszeć o tym żebym to ja ryzykował jakiekolwiek wstrzyknięcia. Nalegał, żeby on, i tylko on, podejmował całe związane z tym ryzyko.

— Ryzyko? — Głos Carsona zabrzmiał tak, jakby inspektor był odrobinę zakłopotany.

— Tak — odparł Brophy. — Związane było z tym pewne ryzyko. Widzicie panowie, zaszczepienie komuś fobii, powoduje że osoba, która się temu poddała, zaczyna dziwnie się zachowywać – jest oszołomiona, jakby po narkotyku. Niewątpliwie to dlatego doktor Martin wyszedł na zewnątrz, kiedy spałem. Był pod wpływem zastrzyku. Ale myślałem, że on także zasnął, a więc zaryzykowałem krótkie przymknięcie powiek. O, Boże — głos młodego mężczyzny załamał się — nie powinienem być tak samolubny!

Carson pokręcił ze współczuciem głową.

— To nie był twój błąd, chłopcze. Z tego co powiedziałeś, on po prostu wyszedł i umarł ostatniej nocy kilkaset jardów od baraku.

Haynes wtrącił:

— Czy cokolwiek związanego z tym lekarstwem, mogło wpłynąć na jego śmierć? To jest, chciałem powiedzieć, czy wyjście z baraku w takim stanie, mogło mieć cokolwiek wspólnego z jego śmiercią?

— Gdzie go panowie znaleźliście? — nagle spytał Brophy.

Carson na krótką chwilę zamknął oczy.

— Na zboczu malutkiego wzniesienia; nie mógł znajdować się wyżej niż pół stopy ponad powierzchnią ziemi. Obejmował kurczowo rękoma pagórek, tak jakby usiłował się go przytrzymać.

Szloch Brophy'ego zdawał się wyrywać prosto z serca chłopca.

— Nie! Nie! To naprawdę straszne, o Boże. A więc to dlatego. To był bezpośredni błąd działania serum. Wszczepił sobie lęk wysokości – rozumiecie, panowie?

Haynes strzelił palcami.

— Dobry Boże, szefie. Lęk wysokości. To musiało być to. — Wzdrygnął się. — Ten starzec prawdopodobnie wyszedł na zewnątrz, oszołomiony, upadł na półstopowe wzniesienie. Może wyobraził sobie, że jest gdzieś wysoko i… — nagle odwrócił się do Brophy'ego. — Jak mocny był ten zastrzyk? Czy strach mógłby zatrzymać serce człowieka?

Brophy potwierdził.

— Tak. — Jego głos brzmiał nadal ochryple. — Strach – kiedy zostanie wzbudzony sztucznie – naturalnie jest znacznie potężniejszy w skutkach; jego siła jest znacznie powiększona. To dlatego doktor Martin był w stałym niebezpieczeństwie i musiał być pilnowany.

Carson oczyścił gardło.

— Ale górka wystawała z ziemi zaledwie na pół stopy. Czy zastrzyk mógł zwiększyć jego odczucie wysokości? Czy mógłby zmusić go do uwierzenia, że był znacznie wyżej niż w rzeczywistości, zakłócić proporcje całego jego postrzegania?

Brophy pokręcił głową, ze smutkiem.

— Całkiem możliwe, że mógł. Nie jestem pewien. Ale w naszych eksperymentach, przy zaszczepianiu innych fobii, zdolność do oceny była osłabiona.

— A więc to — łagodnie powiedział Haynes — daje jasny obraz sytuacji. Ten starszy człowiek spoglądał w dół z wysokości pół stopy, a wyglądało to dla niego, jakby był na wysokości mili. Strach przed, jak mu się wydawało, ogromną wysokością zabił go, zatrzymując pracę jego serca.

Brophy zapalił papierosa, drżącymi rękoma.

— Obawiam się, że to jest rozwiązanie, panowie – straszliwe rozwiązanie. — Ramiona zadrżały mu konwulsyjnie.

— Być może — stwierdził Carson. Brophy nagle uniósł na niego wzrok, a Haynes aż odwrócił się do niego twarzą. Obaj byli zdumieni tym co zobaczyli. Inspektor celował w młodego Brophy'ego z pistoletu atomowego.

— Skuj naszego młodego przyjaciela, Brisk — rozkazał Carson Haynesowi, — i zabierz go do krążownika. Nasze wakacje właśnie zostały popsute przez niemiły obowiązek odwiezienia mordercy z powrotem na Ziemię!

— Ale, szefie! — Haynes był kompletnie zdumiony. — Chłopak…

— Ten chłopak powiedział kilka słów za dużo. Naukowcy zwykle tak mają. Lubią wszystko za bardzo komplikować — przerwał mu Carson. — Skuj go!

— **C**hyba robię się coraz grubszy — powiedział swemu szefowi Brisk Haynes, kierując niewielki krążownik rakietowy z powrotem w stronę Bazy Kosmicznej. Ich więzień był bezpiecznie skuty i leżał na stercie sprzętu – dziewiczego, nawet nie ruszonego – na rufie statku.

— Może i tak — z zadowoleniem przyznał Carson.

— Ale… — zaczął Haynes.

— Posłuchaj — cierpliwie oznajmił Carson. — Młody Brophy ewidentnie zobaczył nasz statek zbliżający się do asteroidy. Może zabił starego już parę godzin wcześniej, a może tylko parę minut. W każdym razie dostrzegł, że tam lecimy.

Wiedząc, że ma mnóstwo czasu i wiedząc, że ma pod ręką dowody na prowadzone eksperymenty, zabrał doktora Martina z baraku i zostawił go na wzniesieniu terenu. Wiedział, że kiedy wylądujemy, znajdziemy go. Potem wrócił do baraku i udawał, że zbyt długo spał. Taką też odegrał rolę, kiedy się do niego wtargnęliśmy.

— Tak, wiem to. Ale… — zaczął Haynes.

— Czy ty mnie słuchasz! — warknął Carson. — Tak jak powiedziałem, ten dzieciak na nas czekał, aż w nieunikniony sposób pojawimy się u niego z ciałem. Miał drobiazgowo przygotowane wszystkie wyjaśnienia – włącznie nawet z pozytywnym dowodem prowadzonych eksperymentów. Był niemalże nawet odrobinę zadowolony – chociaż nie ośmielił się tego okazać – ponieważ dzięki nam miał świadków. Ale, jak wszyscy naukowcy, chciał to poprowadzić zbyt doskonale. Mógł powiedzieć, że stary wyszedł na zewnątrz i tam po prostu umarł, na skutek zwykłego ataku serca. Mógł tak powiedzieć i wszystko byłoby absolutnie jasne.

— Mógł tak powiedzieć — przyznał Haynes.

— Ale nie powiedział. Pomyślał, że ma jeszcze lepszą wymówkę w tym materiale dotyczącym eksperymentów – który był absolutnie prawdziwy – a więc zamiast tego, skorzystał z hokus-pokus fobii. Stary miał w sobie zaszczepiony lęk wysokości. Ale widok półstopowej przepaści nie mógł go zabić.

— Naukowo, było to możliwe! — zaprotestował Haynes.

— Taaa — zgryźliwie zgodził się Carson. — Może i tak, gdyby tylko mógł ją zobaczyć!

— Zobaczyć ją? — niemalże wybeczał Haynes.

— Oczywiście. Czy nie widziałeś, że kiedy znaleźliśmy starego, nie miał na nosie polaroidowych okularów?

Haynes skinął głową.
Carson mówił dalej.
— A więc, jeśli nie miał założonych polaroidowych szkieł, do czasu zanimby pokonał odległość od baraku do miejsca w którym go znaleźliśmy, dostałby kosmicznej ślepoty. Byłby ślepy i nie byłby w stanie niczego zobaczyć – a już szczególnie malutkiego, półstopowego spadku z pagórka. A więc, skoro nie mógł go zobaczyć, to nie mógł również wiedzieć, że on tam jest, a to oznacza, że nie mógł go zabić strach przed nim!
Haynes westchnął.
— Okej, po raz kolejny.
Carson uśmiechnął się od ucha do ucha.
— Pozwól teraz, że umieszczę dla ciebie ostatni fragment układanki w odpowiednim miejscu, i posłuchaj. On został zginął na skutek straszliwego lęku wysokości. Ale nie spowodowanego samą wysokością, jako taką. Prawdopodobnie to Brophy wmówił mu, że znajduje się ma dużej wysokości, kiedy stary był oszołomiony, i to go właśnie zabiło![1]
— Wszystko to jednak dowodzi, szefie, że pańskie ulubione powiedzonko jest kompletnie nieprawdziwe — triumfalnie oznajmił Haynes.
— Jakie powiedzonko?
— O tym, że nauka nie pomaga panu w byciu Sherlockiem dwudziestego piątego wieku. Nie mógłby pan rozwiązać tej sprawy bez pomocy nauki!
Carson uśmiechnął się pobłażliwie.
— Haynes, czy nie przyszło ci do głowy, że najmocniejszym dowodem w tej sprawie, i to takim że nawet Hotentot potrafiłby go wychwycić – a ty go przegapiłeś – był fakt, że właz śluzy w baraku był zamknięty od środka? I że dlatego doktor Martin nie mógł wyjść na zewnątrz, podczas snu Brophy'ego? Nauka? Nie, mój drogi Haynesie. Powtarzam, nie nauka a po prostu odrobina myślenia.
— No cóż. W każdym razie, szefie — stwierdził zmartwionym głosem Haynes, — niezależnie od tego co to było, z pewnością zrujnowało nasze wakacje!

KONIEC

[1] Siła sugestii ma zadziwiająco duży zakres możliwości. Sugestia hipnotyczna może zmusić kogoś do wykonywania rozkazów, nawet kiedy nie jest już on pod wpływem hipnotyzera i w umyśle ofiary nie powstaje najmniejsza wątpliwość dlaczego on czy ona je wykonuje. Dlatego nie wydaje się niemożliwością zasugerowanie czegoś osobie, której umysł jest ekstremalnie otwarty na przyjmowanie sugestii – tak jak w przypadku doktora Martina, po wstrzyknięciu mu przez jego asystenta, naukowego preparatu – i w konsekwencji spowodowanie śmierci wskutek ataku serca wywołanego ekstremalnym strachem. Powszechnie znany jest fakt, że strach, wystarczająco silny, może powodować poważne szkody na ciele, poprzez zakłócenie normalnego działania gruczołów. Bez trudu może on spowodować zatrzymanie akcji serca i śmierć – przyp. red. Fant. Adv.